

Marta Kujalowicz z domu Sarul. Urodziłam się na pograniczu Litwy, Łotwy i Rosji, w samym tym czubku. To był zaścianek Obuchówka, niedaleko miasteczka Głębokie. Naszą gminą było miasteczko Jody, powiat Brasław, województwo wileńskie. Wilno od nas było gdzieś 200 km na zachód. Rodzice moi byli rolnikami, mieli niedużo ziemi, 7 ha. Ale ojciec był dobrym gospodarzem, tak że biedy nie było. Dzieciństwo wspominam bardzo mile. Mój dziadek ze strony ojca przybył do tej Obuchówki - było dwóch braci - Jerzy i Piotr Samulowie, którzy kupili tę Obuchówkę. A babka moja była Puchalska z domu, czym się bardzo szczyciła. Matkę moją ojciec poznał we wsi, to nie była żadna szlachecka rodzina. Babka przypuszczalnie miała dokumenty o szlachectwie, ale kiedy w latach 40-ch była pacyfikacja wsi /za Niemców/, to wszystko spłonęło. Nazwiska ze wsi: Stacewicz, Ornatko, Piotrowicze. A moja mama była z Marcinowców z domu Pietuszeko.

Pod względem <sup>Wyznania</sup> ludność była mieszana: w Obuchówce byli katolicy, niedaleko w wiosce była mieszana ludność - prawosławni i katolicy. Natomiast w wiosce mojej mamy - w Marcinowcach byli katolicy. Parafia była w Zamoszu /to większa wioska/. Tam była też cerkiewka. Kościół był drewniany, bardzo piękny, stał na przesmyku między dwoma jeziorami. Jak się zaczęła wojna, to prawosławni spalili kościół, a katolicy spalili cerkiew. To zrobiła miejscowa ludność - nawzajem sobie z zemsty. Między prawosławnymi i katolikami nie było bliższych kontaktów, małżeństwa mieszane były bardzo rzadko. Może to księża tak dbali o to. Jeśli dziewczyna wychodziła za katolika, to tego katolika ksiądz publicznie z ambony wyklinał, łamał zapaloną świecę. A przypadków, żeby dziewczyna katoliczka wychodziła za prawosławnego właściwie nie było, widocznie kobiety bardziej bały się tego związku z innym obrządkiem. Znam te przypadki z opowiadań, bo urodziłam się w 1927 roku.

Ale na zabawy chodzili razem, dzieci też bawiły się razem. Było też i to rozróżnienie, że katolicy rozmawiali po polsku, a prawosławni to mówili taką gwara - mieszaniną języka białoruskiego i rosyjskiego. Tam gdzie byłam u rodziców, to było mniej, natomiast jak

Marta Kujałowicz

wyszłam za mąż, to nawet niedaleko było, 30 km od miejsca mego urodzenia, to tam byli jeszcze starowierzy. Wyszłam za mąż do Kopanki, niedaleko od takiej dużej wsi Bildziugi, w r. 1946 /już po wojnie, kiedy mąż wrócił z wojska jesienią 1945 r, a na wiosnę myśmy się pobrali/. Tam to ten naród był jeszcze bardziej zmieszany. A Kopankę kupili kiedyś rodzice mojego męża od pana K<sup>u</sup>pańskiego i od jego imienia nazywała się miejscowość K<sub>o</sub>panka. Tam mieszkał tylko brat mojego męża i my. Tam już byli prawosławni, katolicy i starowierzy. A w B<sup>ł</sup>dziugach swego czasu było bardzo dużo Żydów. Była nawet synagoga; mimo iż miejscowość była rolnicza, to Żydzi rolnictwem się nie zajmowali. Opowiadano anegdotę, jak to Żyd szedł z kosą na pole, ale nie kosił, bo żaby bał się bardziej niż żmii. Z Żyda rolnik był żaden, Żydzi trudnili się zawsze choćby najdrobniejszym handlem. Mimo że ludzie byli prawie całkiem samowystarczalni, to jednak nie całkiem: zapalki, nicie, igiełki trzeba było kupić. A Żyd i szmaty skupował i stare butelki.

Do szkoły chodziłam do wsi Zakorie. Tam były klasy 1-4. P<sub>o</sub>tem zaczęłam chodzić do miasteczka Jody. Od nas było 6 km. Latem biegałam tam, a potem ojciec kupił mi rower, to już było bardzo dobrze, a zimą mieszkało się na stacji. Byłam w siódmej klasie, kiedy zaczęła się wojna. Do nas na to pogranicze bardzo szybko przyszły wojska radzieckie - było u nas już 18-go.

M<sup>o</sup>ment wejścia pamiętam bardzo doskonale, bo tego dnia u mojej babki na polu kopaliśmy ziemniaki - w sąsiedniej wiosce. Koło pola szła taka droga z ubitego szutru. Droga była w dobrym stanie - utrzymywana w ramach starwarków. Najpierw zobaczyliśmy taką szpicę. Rosjanie jechali na takich małych konikach. Za tą szpicą była czarna masa. Było trochę huk, bo szły też czołgi. Żołnierze podeszli do nas na pole i pierwszym ich pytaniem było: "Gdzie jest wasz pan?" Nie wiedzieliśmy, o jakiego pana chodzi. Zapytali więc, czyja to ziemia. Babcia mówi, że to nasza. To oni, że my kłamiemy, bo w P<sub>o</sub>lsce każdy musi mieć swojego pana.

Marta Kijałowicz

Najśmieszniejsze było to, że kiedy oni przyszli do nas, to byli tacy brudni, na głowach mieli czapki "budionnowki". Czapki były z nausznikami, chociaż to była jeszcze ciepła jesień. Babka nasza, kiedy ich zobaczyła, to w tej brudzie kartoflanej zaraz zemdlała. Chlap i leży.

Przed wojną ludzie nie mieli wyobrażenia o Rosji. Była tzw. żelazna kurtyna. Uciekali czasami ludzie przez zieloną granicę - do Związku Radzieckiego. W tej właśnie wsi Zakorciu uciekł przez zieloną granicę taki komunizujący Maksimowicz. Rodzice jego zostali w Zakorciu. Natomiast jak szli sowieci, to wojsko, to prawosławni z Zakorcia wynieśli stół z obrusem i chlebem i solą witali. Co wcale im nie wyszło potem na dobre. U jednych gospodarzy była córka w Rosji. Potem ta córka przyjechała i zaczęła matce opowiadać, jak to jest w tych kołchozach. Matka opowiedziała to sąsiadce. I tych staruszków jako pierwszych wywieźli potem gdzieś w głąb Rosji.

Po przyjeździe Rosjan chodziłam do szkoły w Jodach. Wszystkich nas cofnęli do 5-ej klasy. Do szkoły przysłali komisarza. Komisarzem była Żydówka Radkiewicz/?. Ona była z głębi Rosji. Miałam kłopoty z rosyjskim, bo u nas w domu rozmawiało się po polsku. Początkowo więc nie rozumiałam, co się do mnie mówi; na początku byli jeszcze nauczyciele polscy, ale ich szybko odsunęli od pracy, a potem w 1940 roku ich wywieźli. Był kierownik szkoły pan Kochański, to jego naprzód zabrali, a potem żonę z dziećmi wywieźli. Nauczyciele byli do nas przysyłani.

W szkole była młodzież prawosławna, byli też Żydzi. Żydów było nawet dużo. Przyjaźniłam się nawet z Silbermanną, córką młynarza. Młynarzowi powodziło się już trochę lepiej. Była też moja koleżanka Żydówka Wilczewska. U nas w domu nigdy nie było żadnego nacjonalizmu, nie mówiło się, że ktoś jest gorszy, a ktoś lepszy.

Pamiętam, że Żydom w ich święto nie wolno było nosić żadnych ciężarów, np. teczki. To w soboty dostawaliśmy od nich różne łakocie, żeby za nich do szkoły i ze szkoły nieść teczkę. U Silbermannów to bywałam nawet w domu. Ale to Żydzi raczej się od nas oddzielali. Bo

Marta Kujałowicz

Silbermanowie czasem zapraszali mnie, poczęstowali kakao czy bułką. Pomagałam Merze czasami w lekcjach. To dla goja był specjalny wydzielony kubek czy jakieś inne naczynie. Klan żydowski był raczej zamknięty. Nie pamiętam ani jednego przypadku, żeby ktoś ożenił się z Żydówką czy wydał się za Żyda.

Szkoła, kiedy przyszli Rosjanie, była czynna przez cały czas, ale szkoła była cały czas pod nadzorem tej komisarz. Pamiętam takie zdarzenie: posłano nas do przychodni lekarskiej na jakieś badania. Ja byłam grupową odpowiedzialną za porządek. Pani z przychodni odeszła na chwilę. Wtedy Żydówki zaczęły otwierać te szafki w przychodni i do nich zaglądać. Wtedy ja powiedziałam: "No co to za taka żydowska ciekawość". I za to o mało co nie wyleciałam ze szkoły, bo one poskarżyły, że ja użyłam słowa "żydowski" - bo w języku rosyjskim to było słowo obraźliwe. Wilczewska się poskarżyła pani komisarz. Bo na Żyda trzeba było mówić "Jewriej". Wzywano mnie do p. komisarz, przesłuchiwano, wzywano rodziców. Dopiero mamie udało się wyjaśnić, że u nas słowo "Żyd" nie jest obraźliwe.

Żydzi byli wtedy bardzo pewni swojego, uważali też, że przyszli "nasi".

Przed wojną w klasie był krzyż, był portret Mościckiego i Piłsudskiego. Do szkoły przyjeżdżał ksiądz prefekt na religię. W szkole była nawet jakaś organizacja katolicka. Do szkoły przychodził też i pop. Rabin do szkoły nie przychodził. Młodzież żydowska pobierała swoją edukację religijną chyba w bożnicy. Portrety i krzyż znikły jakoś niezauważalnie. Bardzo szybko zaczęło się organizować w młodszych klasach organizację pionierską. Pamiętam nawet, że była piosenka o Pawliku Morozowie, który był bardzo wielkim przykładem, bo wydał swoich rodziców, którzy ukryli przed władzą radziecką zboże.

Religii w szkole już nie było, ale do kościoła wolno było chodzić - tego nie zabraniali. Ale potem zaczęły się prześladowania księży. Kiedy już byłam mężatką, to wywieźli księdza z Nowego Pohosta - to była nasza parafia, kiedy już byłam mężatką i mieszkałam już w K<sup>U</sup>-pance.

Marta Kujalowicz

To była straszna tragedia. Jechaliśmy swoim koniem. To było lato 1947 roku. Jeszcze nie było kołchozów, bo jechaliśmy swoim koniem. Słyszemy nagle bicie dzwonów - niewiadomo czemu, bo to nie była godzina nabożeństwa. Dojeżdżamy bliżej i słyszymy płacz ogromny. A to na plebanii NKWD zabiera księdza. Ludzie zaczęli rzucać się przed ciężarówkę i cały czas był płacz ogromny. To wtedy księdza położyli na dno ciężarówki i pojechali przez ogrody, bo tłum ludzi zagroził drogę. To był ksiądz Dereszkiwicz. Do naszego wyjazdu w 1956 roku ksiądz nie wrócił. Był na pewno wywieziony na Syberię. Kościółek był bardzo piękny, modrzewiowy. Ale potem tam założyli fabrykę kisielu. Całe wnętrze zdewastowali, ponastawiali beczek, w końcu ten kościółek się zmarnował, zapadł się dach i nawet już budynku tego nie ma.

Szybko były zrobione urzędy stan<sup>u</sup> cywilnego. Trzeba było tam rejestrować narodziny, zgony i śluby. Ale np. moje dzieci są chrzczone w Borodzieniczach, to nie nasza parafia, ale tam był staruszek ksiądz. Ksiądz chrzczył legalnie, prowadził nawet księgi metrykalne. Ale potem wszystko od niego zabrano i wywieziono do Mołodeczna. Tam, gdzie nie było USC, to sprawy załatwiano w sielsowiecie, nawet w Bildziugach urzędnicy mieli prawo dawać śluby. Przed 1956 rokiem, kiedy myśmy wyjeżdżali, to księdza nie było już ani w Brasławiu, ani w Borodzieniczach. Najdłużej ksiądz był w Głębokiem, ale do Głębokiego od nas było 50 km. On był więc praktycznie dla nas niedostępny. Bo już w 1948 roku organizowali kołchozy.

My wstąpiliśmy do kołchozu w 1947 roku. Początkowo nie chcieliśmy wstępować, woleliśmy oddawać to, co kazali. Początkowo nie było podatków pieniężnych, tylko w naturze.

Wojna zakończyła się wiosną, ale mój ojciec i przyszły mąż wrócili dopiero w listopadzie 1945 r., nie zdemobilizowano ich od razu, bo trzymano na wypadek wojny z Japonią. Kołchozy zaczęto organizować bardzo szybko. Wioskę Bildziugi bardzo szybko zmuszono do kołchozu.

Marta Kujałowicz.

A myśmy myśleli, że damy jeszcze rady uporać się z tymi podatkami. Jak się wstępowało do kołchozu, to można było sobie zostawić 1 krowę, jedną owieczkę i 1 prosiaka, a resztę trzeba było oddać do kołchozu. Jak się wydałam za męża w 1946 r. to on miał już gośpodarkę. Jak nas przycisnęli podatkiem, to myśmy już prosili, żeby nas przyjęto. Trzeba było wszystko oddać: zboże, siano, mięso, mleko. Pieniądze wymuszano - trzeba było wykupić obligacje. Kiedyś zamknięto wszystkich mężczyzn i tam zmuszano ich do tej pożyczki państwowej. Nam wyznaczili kwotę 400 rubli, co było ogromną sumą! Przyjechali do nas urzędnicy z rejonu - z Szarkowszczyzny i dopóty trzymali mężczyzn, dopóki się nie podpisali na tę kwotę.

strona B

Wybory w 1940 r. Wybierano rady. Rodzice głosowali w Zakoriu. Wybrano bardzo biednego człowieka z Zakoria, który miał chatynkę prawie zapadniętą w ziemię. On pojechał do Mińska na takie posiedzenie. Po powrocie ludzie go pytali na zebraniu, a on mówił tylko, że w Mińsku były ogromne domy. Ten delegat był chyba nawet niepiśmienny. Nie było oczywiście żadnego wyboru. Rzucało się karteczkę i już.

Pierwsza wywózka była 14 lutego. Wtedy wywieziono żonę kierownika szkoły p. Kochańską z 2 dziećmi. Wywiezli też moja ciotkę Marię Wysoczką z mężem - oni byli z Marcinowic. Mąż jej był gajowym. Dzieci nie mieli. Oni byli w Kazachstanie /mam nawet jej zdjęcie - Polacy wywiezieni siedzą zebrani przed jakąś świetlicą/. Ciotkę Marię rozłączyli z mężem zaraz po zabraniu. Ona pisała z Kazachstanu. Można było jej posłać nawet paczkę. Ona była w kołchozie, a on gdzieś tam w lasach. Potem oboje wyszli z Anderssem, są teraz w Anglii oboje, ale już ze sobą się nie zeszli. Małżeństwo się rozpadło.

Wywieźli m.in. p. Kukucia. Był sąsiadem moich rodziców. Miał kawałek ziemi i pracował na niej jak najgorszy wyrobnik, nawet przy latar-  
ni kopał na łące rowy i wyrzucał tę ziemię. I jego właśnie wywieźli. Nikt nie wiedział, co się z nim potem stało. Wywiezli z Zakoria rodziców tej panienci, co opowiadała o kołchozach.

Marta Kujałowicz

Pamiętam, kiedy Rosjanie szli w 1939 r., to nocowali na polu koło Opubuchówki. Rano pobiegliśmy z innymi dziećmi zobaczyć, co oni tam po sobie zostawili: a tam było tylko zanieczyszczone pole, bo nawet nie wykopali sobie latryny.

U moich ciotek mieszkał przez pewien czas politruk. Rosjanie od razu wszystko wykupili ze sklepów, mimo że Żydzi część towarów pochowali. Ale wykupili nawet pościelówkę, bo to nadawało się też na sukienki. Trochę później zjawili się też Rosjanie cywile.

U nas Niemców prawie nie widzieliśmy. Niemcy byli w Szarkowszyźnie. Niemcy po przyjeździe brali nas do szkoły na kurs, żeby potem można było pracować w szkole w zapadłych wioskach. Ja ukończyłam taki 6-miesięczny kurs w Brasławiu po białorusku i pracowałam w szkole w Bildziugach i tam też był posterunek żandarmerii. Pracowałam jeszcze rok jako nauczycielka po ponownym przyjeździe Sówietów, bo oni nie mieli kim zupełnie obsadzić szkoły.

Partyzantka była i u nas. Powstała stąd, że Niemcy wywozili młodzież na roboty. To młodzież uciekała do lasów - u nas tereny były leśno-bagiennie. Dużo uciekało też wtedy, kiedy Niemcy zaczęli prześladować Żydów. Od Żydów i Cyganów się i zaczęło. Na początku to ta partyzantka nie była ideowa, po prostu się ukrywali młodzi ludzie w lesie. Potem skądś zaczęli się przesączać tam Rosjanie. Ludność cierpiała przez to. Niemcy nałożyli też dostawy, a partyzanci musieli z czegoś żyć. Doszło nawet do tego, że partyzanci dziewczynki sobie pobrali do lasu. U moich rodziców przyszli kiedyś nocą, złamali kłódkę i zabrali krowę. Niektórych partyzantów to znało się nawet z twarzy, ale ludzie nie wiedzieli, kto jest kto - to był groch z kapustą. Kiedyś też u ojca konia zabrali, ale potem odesłali. Ludność była zmuszona do wspomagania partyzantów - przychodzili z bronią, przeszukiwali mieszkania. U mnie jako u dziecka zabrali pamiętnik w kształcie serduszka - po co partyzantom ten pamiętnik? Brali odzież, żywność - u nikogo nie pytali. To były złe czasy.

Marta Kujalowicz

Działalność partyzancka nie była taka, jaka mogłaby Niemcom szkodzić. Kiedy przyszli Niemcy, to było dużo jeńców rosyjskich. W Zamoszu był Dom Ludowy, w którym ci jeńcy byli trzymani. Karmiono ich bardzo źle, ci chłopcy tam głodowali. Miejscowa ludność była religijna, więc tym jeńcom nosiła jedzenie. To Niemcy postawili przed tym domem beczkę i wszystko kazali składać do tej beczki razem - czy chleb, czy zupę czy ziemniaki - jak dla świń; potem to brali czerpakiem i im jak świniom to dawali. Ci jeńcy nie mieli naczyń - nalewali sobie jedzenie do czapek, do rak. Jeńcy zaczęli mrzeć. Wtedy Niemcy pozwolili wziąć ludności sobie jeńców jako pomocników do gospodarstwa. Wtedy nasi krewni, których dzieci /tych Wysockich/ wywieźli Rosjanie, wzięli takiego jeńca Borysa. Część jeńców wymarło, a część ludzie zabrali. Potem ci jeńcy u ludzi się odżywili, nabrali sił i poszli do lasu. Tak właśnie zrobił i ten Borys.

Rosjanie przyszli do nas w czerwcu 1944 r. Zaczął się pobór do wojska. Wzięli i mojego ~~ojca~~ ojca. Zanim jednak oni trafili do II Armii, to ich bardzo namęczyli. Mówię o moim ojcu i przyszłym mężu.

Wracając jeszcze do Niemców. Kiedy była pacyfikacja, to spłonął cały nasz dobytek i dom w Opuchówce. Nie mieliśmy się gdzie podziąć. Ale ocalał koń i krowa. Pacyfikacja była okropna, np we wsi Stajki - głęboko w lasach - spędzono całą ludność do stodoły i podpalono. Kiedy pacyfikowano naszą wieś, to ojciec akurat był poza domem z podwodą. Ja z mamą i bratem uciekliśmy do wsi Szarmanka do naszych krewnych. Po pacyfikacji wrócił ~~ojciec~~ ojciec. Wioski były spalone przez Łotyszy, młodzież zabrana na roboty, a starsza ludność nawet rozstrzeliwano.

Z ojcem pojechaliśmy w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, gdzie nas ktoś przyjąłby pod dach. Trafiliśmy do wioski Piestów /koło w. Bıldıziugi/. Tam jeden pan dał nam starą chałupę. Mieszkaliśmy tam aż do pójścia ojca do wojska. Żyliśmy z tego, co ocalało na polu i nie spaliło się. Ojciec robił ludziom walonki, my z mamą robiłyśmy na drutach



Marta Kujałowicz

Przyszli Rosjanie. Ojciec poszedł do wojska. Przed odejściem do wojska ojciec nauczył mnie kosić, bo brat był młodszy. Pod nieobecnosc ojca zebrałyśmy z matką zboże /które było zasiane jesienią/. Ojciec i narzeczony wrócili jesienią 1945 roku. Ojciec nie miał nic - dom był spalony. Zabral więc matkę i młodszego brata i wyjechali do Polski. A ja się wydałam za męża. Mój mąż nie chciał wyjeżdżać, bo szkoda mu było zostawiać ziemi /miał 15 ha/. Przeszliśmy przez kołchoz. Wtedy wyjechało sporo ludzi. Kto się czuł naprawdę Polakiem, ten wyjeżdżał. Ale nie było łatwo wyjechać. Miałam kłopoty przy wyjeździe w r. 1956, bo mówiono mi, że dzieci są Białorusinami, ponieważ się urodziły na białoruskiej ziemi.

Zdecydowaliśmy się na wyjazd w 1956 roku, bo bardzo już dokuczyła bieda. Wstępując do kołchozu zostawiało się sobie jedną krowę, świnie i owcę, a całą resztę trzeba było oddać. Do kołchozu już prosiliśmy o przyjęcie, bo tak nam dokuczali domiarami, że nie można było wytrzymać. Kiedy się oddało dostawy obowiązkowe, to potem przychodził domiar i nigdy człowiek nie mógł się czuć bezpiecznie. Zdarzało się, że mąż był na polu przy pracy, a tu przyjeżdżał jakiś urzędnik i każe wieźć zboże na dostawę. Trzeba było wszystko rzucać i jechać. Z naszej ciężkiej pracy nie zostawało nam nic. Prosiliśmy o przyjęcie do tych Bildziugów, bo nasze pole było trochę za lasem, nie po drodze, więc baliśmy się, że kołchoz będzie nie zainteresowany naszym gospodarstwem. Ale przyjęli.

W kołchozie podstawą rozliczenia jest dniówka obliczeniowa /trudodień/. Na dniówkę jest wyznaczona norma, np. skosić tyle to a tyle pola, wywieźć tyle to a tyle nawozu i t.d. Na rob<sup>o</sup>tę trzeba było iść do Bildziug. Na robotę trzeba było iść, w roku trzeba było wypracować 240 dniówek. Jeśli ktoś nie poszedłby do pracy, to zabraliby działkę przyzagrodową. Działka miała 60 arów - i to było podstawą utrzymania, bo na działce sadziło się ziemniaki, warzywa i siano

Marta Kujalowicz

się odrobinę zboża, żeby było na kaszę.

Kołchoz najpierw po zbiorach musiał oddać normę państwu.

## II taśma

Potem trzeba było zostawić zboże na siew, potem zabezpieczyć paszę dla inwentarza kołchozowego. Dopiera reszta szła do podziału na dniówki. Był taki rok, że na naszą dniówkę obrachunkową wypadło po 11 dkg zboża i po 22 kopiejki - taki był dochód. Przepracowałam rok i przyniosłam pod pachą swój zarobek. Gdyby więc zabrakło działki, to człowiek umarłby z głodu. Z działki był też jeszcze obowiązek dostaw - chyba 5 kg masła rocznie i 15 kg mięsa. Masło było od swojej krowy, a na mięso to hodowało się drób: kury, kaczki. Żeby uprawić działkę, to trzeba było w kołchozie dostać konia /więc nie można było nie chodzić do pracy do kołchozu/, bo łopata to można tylko skopać na jarzyny. Do kołchozu musieli chodzić i mężczyzna i kobieta - każdy miał swoje trudodni do wyrobienia. Jedzenie było z działki, a na pieniądze trzeba było jeszcze gdzieś dorobić - w niedziele chodziło się na jagody, na grzyby i zbierało się na sprzedaż. U mnie w domu stało się dobrze, po wkrótce po wstąpieniu do kołchozu <sup>maż</sup> ojciec poszedł na kurs dla traktorzystów, pracował więc na traktorze, a służby techniczne w kołchozie były rozliczane inaczej - traktorzyści miwli ustalony zarobek niezależnie od dochodów kołchozu. Więc wtedy już nie było źle. A tak za podstawę wyżywienia służyły kartofle - kluski, placki i wszystko inne. Była też kasza. Czasami można było kupić chleb. Bo brakowało i chleba /były kolejki/ i pieniędzy. Poza tym w kołchozie się kradło. Do młócenia chodziło się w spodniach ze specjalnymi kieszeniami - kradło się nie patrząc co: żyto to żyto, owies to owies - wszystko. Kradło się też z pola snopki. Nikt nie liczył sobie tego ani za grzech ani za wstyd w ludzkich oczach. Kołchoźnik kołchoźnika się nie bał. Najgorzej było z sianem dla krowy, bo najpierw kołchoz kosił dla siebie, a kołchoźnikom dawał do podziału skrawki łąki. Były więc takie lata, kiedy wydzierało się słomę ze strzechy, żeby nakarmić krowę. Słomę

Marta Kujałowicz

rabano się siekierą, bo sieczkarni nie było - kto miał ją przed wojną, to teraz oddał do kołchozu. Tą rąbaną słomę zaparzało się wrzątkiem z solą, dodawało się trochę kartofli - i krowa jadła.

W kołchozie inwentarz żywy <sup>1</sup>tdygiął. To było właściwie niczyje. Stopniowo pojawiały się traktory. Pola kołchozowe nie leżały w zasadzie odłogiem, były uprawiane.

Ludzie żyli biednie. Każdy starał się trochę tego grosza zarobić. Domów od ludzi nie pozabierali. W /Bildziugach/była szkoła. Po wojnie w szkole nauczycielami byli już Rosjanie. Miałam nawet koleżankę Rosjankę nauczycielkę. Nazywała się Nadia Gribanowa. Przez pierwszy rok po wojnie ta ja jeszcze pracowałam w szkole jako nauczycielka i Nadia właśnie była kierowniczką szkoły. Była też i jej siostra.

We wsi była też świetlica, mój mąż chodził tam nawet czasem przygrywać do tańców, bo grał na skrzypcach. W tej świetlicy był w zasadzie "czerwony kącik" /krasnyj ugołok/, w którym książki były. Młodzi już czytali po rosyjsku. Starsi czytać i pisać po rosyjsku może nie umieli, ale rozumieć wszystko rozumieli, bo to przecież było pogranicze. Łatwiej było na pewno prawosławnym.

Ale nawet prawosławni, którzy Rosjan witali chlebem i solą, potem pewno nie byli zadowoleni z kołchozów. Człowiek jest przywiązany do swojej własności, nawet jak ma tego niewiele, to jednak wie, że to moje. Zostawili jedną krówkę, a resztę zabrali, właściwie z jakiej racji, tym bardziej, że człowiek widział, jak to się wszystko rozwalało, niszczyło.

Kiedy wywieźli księdza, to nikt nic nikomu nie tłumaczył, nie było żadnego sądu ani nic. Wywieźli i już.

Bieda była duża. Był w Bildziugach sklep, ale żeby kupić kilo cukru, to trzeba było sprzedać 10 jajek. A te kury i te świnki to trzeba było czymś karmić. Czym? Ze zboża to człowiek sam wszystko zjadał. A ziemniakami niewiele można było wykarmić. Ale świnkę trzeba było hodować, bo krowa się nie doi cały rok. Jak krowa przestaje się doić, to

już jest suchy post. A tak jak zabiło się świniaka, to po takim skrawczku... Nie było tak dobrze, tam nikt nie robił wędliny - mięso się solilo do jakiegoś garnka, składało, i potem po skrawku było do zupy i do drugiego, do ziemniaków.

Rowerów, radioodbiorników, zegarków chyba u nikogo nie było. Jak był grosz, to wydało się raczej na buty niż na zegarek. Nie było przecież żadnego takiego dochodu. Można było tylko uhodować np. cielaka na sprzedaż - na jesień, uhodować jakąś gęś czy kurę. Sprzedać jajka - nie było z czego: kury niosły się bardzo późno. Masło trzeba było oddać na podatek.

W Bidziugach była szkoła 7-klasowa. 8-klasowa szkoła była chyba aż w Szarkowszczyźnie. Dużo młodzieży wyjeżdżało na Litwę i Łotwę, bo tam było łatwiej żyć. Wyjeżdżali do miast. Nie mieli żadnych dokumentów, bo dowodów osobistych nie było żadnych. Dostawali więc jakąś sprawkę /zaświadczenie/. Z kołchozów wypuszczali ludzi niechętnie, ale początkowo w kołchozie było dużo ludzi /teraz to tam pusto/. W Marciniowcach był w ubiegłym roku mój brat, mówił, że tam zostało tylko 11 osób - tylko sami starzy. Młodzież wyjechała.

Młodzież po 7-ej klasie gdzieś tam dalej szła - na traktorzystów, na agronomów. Nie słyszałam, żeby ktoś został inżynierem.

Gmach szkolny w Bidziugach był zbudowany jeszcze przed wojną. Po tem się w nim mieścił posterunek policji /za Niemców/, to go partyzanci spalili. Po wojnie szkoła nie miała swojego budynku. Klasy mieściły się po izbach u różnych gospodarzy. Budynek szkolnego jeszcze przed naszym wyjazdem nie było.

Mój mąż był kiedyś w Karełofinach - jeszcze za Stalina. Przyszło do kołchozu zapotrzebowanie na 3 osoby - na wyrąb lasu. Mąż wtedy wyjechał na całą zimę. To była zasada przymusowa, ale za pracę płacili. Przesyłał nawet nam pieniądze. Pozem zdecydował się na drugi rok, dobrowolnie się zapisał na wyrąb lasu do Archangielska - można było trochę zarobić. Ale tam było gorzej, bo w Karełofinach to oni mieszkali w lesie, a w Archangielsku to musieli dochodzić do lasu po 6 km - co-

Marta Kujałowicz

dziennie w jedną i drugą stronę po śniegu. Do Archangielska nie było już przymusu /jak do Karełofinów/, ale mąż chciał zarobić, wyjechał więc w ramach werbunku.

U nas nie było chyba wyjazdów młodzieży na tzw. ziemie dziewicze. Może komsomolcy gdzieś tam wyjeżdżali. Ale chyba też nie wyjeżdżali, bo słyszałabym, ponieważ komsomół i organizacje pionierskie powstawały od razu. Młodzież wstępowała do nich, bo organizowali tańce, wyjazdy jakieś. Młodzi jeździli na wycieczkę do Mińska.

Mój brat stryjeczny Józef Sarul był w Donbasie. On był wywieziony przez Niemców na roboty. Wrócił po wojnie /po 1945 r./ i był za to prześladowany /że dał się wywieźć na te roboty/. On się ukrywał parę lat, siedział w piwnicy, ale potem nie mógł wytrzymać i zapisał się na werbunek do Donbasu /to mogły już być nawet lata 50-te/. Był w tym Donbasie chyba ze trzy lata. Potem wrócił normalnie do kołchozu, do Polski nie wyjechał. Wrócił chyba po Stalinie /przed moim wyjazdem do Polski już był w domu/, ożenił się, chyba był nawet brygadzysta przez jakiś czas.

Śmierć Stalina nie kojarzy mi się z żadnym przeżyciem. Nikt u nas tego nie przeżywał. Ludzie niczego po tym fakcie nie oczekiwali.

Ze starowierami zetknęłam się po wojnie, kiedy już wyszłam za mąż. Staroobrzędowcy różnili się od nas religią, obrzędowością. Oni jeździli gdzieś bardzo daleko na swoje spotkania religijne /chyba na Wielkanoc/ - chyba do wioski Śniegi. Starowierów nazywaliśmy Kandraszy - to określało i ich miejscowość i nazwisko. Oni mówili gwara taką jak i wszyscy, po polsku raczej nie umieli wiele. Więcej starowierów w okolicach nie było, to była taka enklawa z kilku rodzin. Oni pracowali w lesie, drzewo rąbali. Starowierzy byli brodaci, mężczyźni nie goliли się. Poza tym, było dla nas śmieszne, że chodzili razem do łaźni - kobiety i mężczyźni. U nich nie było tego poczucia wstydu. Chodzili wszyscy razem w ramach wspólnoty, nie w ramach rodziny. Ich nie było dużo - ale szli wszyscy z dziećmi, z sąsiadami. Kiedyś u nas zepsuł

Marta Kujalowicz

się piec w tej łaźni. Wtedy oni zaprosili nas do siebie. Poszłam ja do zaprzyjazznionej kobiety - Nastazji, poszłam ze swymi przyborami, z bielizną. Ale nie wiedziałam, że oni kąpia się zbiorowo. Poszliśmy do łaźni, siedzimy tam, a tu wwalają się chłopcy... Dla mnie to był szok! A oni się ze mnie śmieli. Ja już się nie myłam, tylko zaraz w te drzwi i uciekłam. U nas też była łaźnia, ale u nas nawet mąż z żoną nie chodził. Mąż chodził ze swoim bratem, a myśmy chodziły osobno z dziećmi najwyżej i z bratową.

Starowierki trochę się wyróżniały odzieżą - nosiły długie spódnice.

Jeśli chodzi o kołchozy, to u nas nie ostał się ani jeden człowiek nie skolektywizowany. My byliśmy chyba ostatnimi "jedinolicznikami".

Kiedy przyszły traktory, to kołchoz chciał scalić pola, żeby była jedna płaszczyna. Przyjechał traktor z jednym pługiem i zaczął orać w jedną stronę - rów nie rów, krzaki nie krzaki. Przy okazji wyciągnął na wierzch białą ziemię - orał za głęboko. Pole zabronowali, zasiali jęczmień. Jęczmień wymaga dobrej gleby. Wyrósł ten jęczmień chyba na 10 cm ponad ziemię i na końcu miał takie kłosa, jakich ja jeszcze nigdy nie widziałam - kłosa miały po 2 wąsate ziarna. Zbierać tego jęczmienia nie było jak - chyba tylko szczypać. A ja miałam tego roku gęsi. Gęsi poszły po tym polu. Tak się upasły, że młode gęsi jesienią jajka znosiły - a to się nigdy nie zdarzało. Martwiłam się, że na wiosnę gęsi nie będą się niosły, ale wszystko było normalnie.

Na początku chyba lat 50-ch przysłali z rejonu z Szarkowszyszny zarządzenie, że w ramach planu zasiewu kołchoz ma zasiać nasiona koksahyzu - to miała być roślina, z której pozyskuje się surowiec na gumę. Przysłali nasiona, kołchóz wydzielił najlepszy kawałek pola. Ta roślina pochodziła gdzieś z Gór Ałtajskich. Posialiśmy to, trzeba było to plewić, pielęgnować. A to wyrosło podobne do mlecza, ale plon miał być w korzeniu - to miało być mleczek lateksowy. Pielęgowaliśmy to całe lato. Kiedy zaczęliśmy jesienią to kopać, to nie było tam nic! Były takie korzenie jak niteczki! Było tego chyba z 7 ha, ale już te-

Marta Kujałowicz

go nawet nie wykopywaliśmy, bo nie było co. Wyrosło to jak ten jęczmień, ale jęczmienia to przynajmniej gęsi się najadły - moje i sąsiadki, a tu nawet i tego pożytku nie było.

Kukurydzę probowali sadzić tylko przez jeden rok. Dla kukurydzy u nas było za zimno, nie chciała u nas rosnąć. Próbowano uprawiać, ale nic z tego nie wyszło.

Hasło "Dogonim i pieriegonim Amieriku po mięsu, mółoku i masłu" było znane, ale nie było praktycznej realizacji.

Pola nawoziliśmy torfem. Zimą kobiety kopały torfowisko, torf składało się w przyzmy i wiosną rozwoziło się po polach. Podstawa obliczenia normy były przyzmy, to dawaliśmy tam jak najwięcej torfu śniegu, żeby dniówka była.

Str. B

Nie wyjeżdżaliśmy zaraz po wojnie, bo szkoda było swojego pola. Poza tym ludzie sądzili, że sowieci są u nas czasowo. Ta wiara w to, że Polska wróci, była u ludzi jeszcze w latach 50-ch. W latach 50-ch przyjechała do nas w goście moja mama /już z Polski/ i zaczęła rozpaczyc nad tym, jak my żyjemy. Zaczęła nas namawiać do wyjazdu. Wtedy ja zaczęłam starania o wyjazd i potem dostałam dokumenty - to był 1956 r. Od początku były trudności. Starania trzeba było zaczynać od szczebli najniższych - od kołchozu i sielsowietu. Trzeba było zbierać różne zaświadczenia, priedsiedatiel musiał wyrazić przecieź zgodę na wyjazd. Gdyby nie łapówki, to nie bym nie załatwiła. Prawnie nie było możliwości nic załatwić, odpowiadano, że jesteśmy Białorusinami i już. Ale jak przyjechała moja mama, to ona przywiozła trochę kuponów różnych tkanin. Tam po wojnie długo-długo było zle z kupnem materiałów na ubrania, na sukienki. Zaczęło się więc od tego, że wszędzie najniżej dałam te łapówki i dopiero mogłam załatwiać dalej. Punkt, w którym wydawali dokumenty na wyjazd, był w Mołodecznie. Jeździłam do Mołodeczna 7 razy upominać się o dokumenty. Większość ludzi miała kłopoty z wyjazdem - nie chcieli ludzi wypuszczać. Cały nasz dobytek zmieścił

Marta Kujalowicz

się do walizek. Sprzedaliśmy jakiś drobny dobytek, jakąś szafę czy łóżko. Wybudowaliśmy po wojnie chałupę, bo Kujalowicze mieli kawałek swojego lasu. To tą chałupę zostawiliśmy dla matki męża jako zabezpieczenie jej na starość. A właśnie chałupa była najcenniejszym dobytkiem. Wyjeżdżaliśmy z nadzieją, że będzie lepiej, że tu się szybko na nogi stanie. Poza rzeczami osobistymi przywieźliśmy dwa rowery i jakieś aparaty fotograficzne - żeby tu można było sprzedać i od czegoś zacząć żyć.

Na granicy nas bardzo mile przywitani. Ale myśmy popełnili błąd - przyjechaliśmy do mojej matki, a nie do PUKu - wtedy jeszcze działał PUR. Może od PURu dostalibyśmy gospodarstwo, ziemię. Ale skoro zamieszkaliśmy u mamy /ojciec już nie żył/, to władze nie chciały nam pomóc. Nie mieliśmy już dostępu do ziemi. Zamieszkaliśmy w wiosce Kołchoz koło Giżycka u matki. Mąż poszedł niedługo do pracy do Giżycka, potem ja poszłam do pracy. Nigdy nie żałowałam tego, że wyjechałam. Kiedyś nawet powiedziałam, niech tam się wszystko pod jeziorem zatopi - było bardzo ciężko. Kołchoz nie ma do niczego porównania, może chyba do kamieniołomu czy czegoś takiego. Nawet jak jeździłam potem w odwiedziny, to nie jeździłam do Kopanki. Raz byłam u krewnych na Łotwie, a raz jeździłam na Białorus. Mam stąd takie ciężkie wspomnienia, że nie chciałam oglądać tych miejsc. Zresztą tam już nic nie zostało: chałupa została rozebrana, nawet laszek oddzielający Kopankę od Bildziugów wypalił się, bo tam było torfowisko. Zostały tylko doły z wodą. A brat męża - drugi Kujalowicz przeniósł się do miasteczka. Jedyny mój sentyment - własnoręcznie posadzona jarzębina, ale też pewnie teraz wyrabana.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z kołchozu, to nie było mowy o jakichkolwiek rozliczeniach z kołchozem, nie było żadnych zwrotów udziału. Jedynie odkupiono od nas obligacje - jakiś nikły procent tej pożyczki.

Mężczyzn zabranych do wojska w 1944 roku /wyruszyli z domu 4 czerwca/ wywieziono daleko w głąb Rosji, za Moskwę. Nie było tam żadnego szko-



Marta Kujalowicz

lenia, nasi mężczyźni byli razem z Rosjanami. Byli w Zominie za Moskwą. Dostali mandury rosyjskie. Ale Polacy dowiedzieli się, że jest wojsko polskie. Polacy się złączyli i zażądali, żeby być w wojsku polskim. A w tym Zominie były okropne warunki: trzymano ich w ziemiankach, karmiono na granicy śmierci głodowej. Ale Polacy się uparli, niektórzy jako agitatorzy zostali uwięzieni. Ale w końcu trafili do wojska polskiego. Znaleźli się z Polakami również Rosjanie. Kiedy wojna się skończyła, to byli wojskowi mogli przyjeżdżać do Związku Radzieckiego po swoje rodziny - i wtedy na pewno powyjeżdżali do Polski nie tylko Polacy. Wtedy wyjechał do Polski mój ojciec. /A mąż miał specjalne zaświadczenie o tym, że przyjechał po <sup>rodzinę</sup> ~~rodzinę~~ ale myśmy zostali/.